

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 106.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 6 października 1861 r.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielną 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (z czterema drzeworytami). — Szachy i Rebus.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Życiorys szczegółowy i dokładny Hofmanowej, i przy tak pojętym życiorysie konieczne wykazanie i ocenienie wpływów i pojęć w jakich budziła się i wychowała jej dusza; dziś jeszcze może nie byłoby całkiem na czasie. Ocenienie owych wpływów i pojęć poruszyłyby kwestye, które z upływem czasu dopiero dostatecznie wyjaśnione, a bez rozdrażnienia podjęte, bezstronnie traktowane i ze stanowiska historycznej sprawiedliwości osądzone być mogą. Zostawiając tedy czasom późniejszym ów głębszy, filozoficzniejszy, analityczny pogląd na urabianie się i proces wewnętrzny tego życia, co tak głęboki ślad po sobie zostawiło, na dzisiaj zamknijemy wzmiankę naszą o jej życiu i pracach w daleko ciśniejszych granicach. Za punkt wyjścia posłuży nam jej uzdolnienie pisarskie, już jako fakt spełniony; będziemy się starali wykazać pokrótce w jakie ten fakt dalsze rozwijał się następstwa, unikając rozbioru tych przyczyn, w skutku których takim, a nie innym się rozwinął i objawił. Taka jaką była, Hofmanowa wywarła wpływ niezaprzeczony i ogromny; mając mówić o tym wpływie, przyjmujemy ją tedy taką, jaką była, omijając psychologiczne studia, objaśniające dlaczego była taką, z kąd ta lub owa cecha jej talentu, z kąd jednostronność w tym lub w owym kierunku, z kąd wreszcie ta lub owa wyłączość.

Szczegóły zewnętrznej strony jej życia są niemal tak powszechnie znane, jak powszechnie czytane są jej pisma. Trzy pierwsze tomy owych pism, po śmierci wydanych, zawierają Pamiętniki, widocznie przez nią nieprzeznaczone do druku, i które może w takiej formie jak są, nigdyby drukowane być nie były powinny. Tam autorka rok po roku prawie opowiada swoje życie, notuje główne jego wypadki i przemiany. Pojedynczych szczegółów, odnoszących się do tego życia, niebrak także po różnych piśmach; dla łatwiejszego jednak i porządniejszego ich objęcia, streszczamy i powtarzamy je tutaj.

Św. pamięci Klementyna z Tańskich Hofmanowa urodziła się r. 1798. Matka jej, tak żywo przez nią kochana i wielbiona, była Maryanna z Czemińskich. Ojciec, któ-

rego w pierwszym straciła dzieciństwo, Ignacy Tański, dał poznać imię swoje przez kilka prac literackich, ogłaszanych w owym jeszcze czasie, kiedy gładość pióra i naśladowanie mniej lub więcej zręczne konwencyonalnie uznanych wzorów, w ich zewnętrznej formie, pokrywała płytkość i czczość myśli. Przed rokiem 1794 był on sekretarzem w gabinecie interesów zagranicznych.

Wyczulki, gdzie rodzice Klementyny po owym wielkim rozbiu pierwsze znaleźli schronienie z dwiema starszemi córkami, Aleksandrą, wydaną później za Marcellego Tarczewskiego, i Zofią, zmarłą w 10 roku życia. Nasza Klementyna przyszła na świat w Warszawie, dokąd matka jej wyjechała. „Po niej jakim czasie, mówi w swych pamiętnikach autorka, rodzice wrócili do Wyczułek ze mną. Miałam szczęście trafienia od razu na dobrą mamkę, rodem z Rochłowa pod Sochaczewem; byłam zdrowa i nie przydałam wiele kłopotu do życia drożych rodziców.“

Fenomenem rzeczywiście dotąd niezbadanym i zagadnieniem historyczno-psychicznym późniejszym czasom do rozwiązania przeznaczonym, jest usposobienie i życie rodzin polskich w owych czasach. Brzmiał kraj cały rozgłosem hucznych zabaw, nieskończonych festynów i zjazdów sąsiedzkich, Głośna, szalona stypa przeciągała się na lata i złączyła z hucznym obchodem narodzin poronionego płodu, księstwa warszawskiego.

W owej stypie brali udział wraz z innymi rodzice Klementyny. Rozrywani w sąsiedztwie, fetowani w okolicznych pańskich domach, bawiąc tygodnie całe w gościnie, dzieci na opatrności Boskiej zostawiali. Autorka opowiada to z całą dobroduszością serca przejętego czcią dla rodziców. „Olesię, żywą, dowcipną, sługi uporu nauczyły; w Zosię wkorzeniła się jakaś słabość oschliwa; mnie piastunka, upiwszy się, upuściła i przesunęła mi się łopatką.“

Nareszcie nadszedł czas, gdy podrastające dzieci potrzebować zaczęły edukacji. I z tém nie było kłopotu. Przyjaciele zaprotegowali, między okoliczne dwory dzieci rozebrano, i znowu swoboda, festyny i zjazdy! Matka urodą i wdziękiem ozdabiała zgromadzenia; ojciec to obrazek dramatyczny, to sielanekę, to powinszowanie napisał, i wszędzie oboje pożądanymi, zapraszani, rozrywani byli. Olesię wzięli księstwo Czartoryscy, Zosię „ciągle chorą“, zostawiono przy babce, trzyletniej zaś Klementyny napałała się panna Dorota Szymanowska, córka owej Anieli z Świdzińskich, siostrzenicy pięknej królewiczówny, księżny kurlandzkiej. Wkrótce i rodzice oboje do Puław zaproszeni zostali. „Między niemi a księstwem sta-



KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA. (Rys. Gerson, ze sztychu Oleszczyńskiego).

Wypadki r. 1794 pozbawiły go rodziców zamieszkałych na Pradze, odjęły mu oraz urząd i środki utrzymania rodziny. Towarzysz szkolny i przyjaciel, Jan Łuszczewski, wypuścił mu wtedy w dzierżawę wioskę

nęła ugoda, że się do Puław zupełnie sprowadzą; wyznaczyli im za to 6000 rocznej pensyi, 10,000 po dziesięciu latach i ładny domek z ogrodem. Ojciec mój zobowiązał się dopełniać poleceń księcia w inte-

resach, być mu w jego literackich pracach pomocą i ciągłym towarzyszem.“ Położenie to zmieniło się cokolwiek przez nagłą śmierć ojca, nastąpioną r. 1805.

Po owej śmierci, matka, utraciwszy wprzód słabowitą Zosię i powiwszy czwartą córkę, ukochaną od naszej autorki Marynię, trzy lata jeszcze gościła w Puławach, a następnie przeniosła się do Warszawy. Tu wkrótce zabrała i przysięgnęła do siebie rozproszone swoje córki. Klementyna, wówczas 13letnia, pierwszy raz kosztowała zaczęła słodczy domowego życia. Odebranie jej z Izdebną, jak sama wyznaje, nie przyszło bez trudności. „Moje zacne opiekunki z miłości wystawiły mnie sobie za swoją własność i nie przypuszczały żeby mnie można było z niemi rozłączyć.“ W trzynastym roku zwykle wyrażnie się już narysowuje zakrój przyszłego charakteru. Wrażenia w dzieciństwie doznane, przerażać się już zaczynają na pojęcia i wyobrażenia, i w sercu zwykle zebrany już jest zasób, który o przyszłym kierunku, o przyszłym ubóstwie czy bogactwie uczucia ma świadczyć. W całym też późniejszym życiu ś. p. Klementyny i w pismach jej przebiega barwa, jaką te pierwsze lata charakterowi jej nadały, kierunek jaki umysłowi jej stworzyły. Odtąd uczucia rodzinne napełniły jej duszę. Starania około matki, współdziałanie w zatrudnieniach domowych, ciche rozrywki w przyjaznym gronie, zapełniały jej dni, zadowalniały serce, młodej wyobraźni dostarczały wątku, że po za ich kres nie wybiegła.

Wkrótce owemu życiu, cicho na łonie rodziny upływającemu, przybył wdzięk nowy: za pierwszą, niemal na żart wykonaną próbą, objawił się talent pisarski. Objaw ten z radością od rodziny witany, z współczuciem od przyjaciół przyjęty, wkrótce u publiczności ówczesnej zyskał nietylko uznanie, ale najżywsze współczucie i głęboki szacunek. Rodzaj jego nie wkroczył w tę sferę zagadnień, które budzą namiętności, żywym uniesieniem lub zawzięcią poruszają umysły, serca entuzjazmem lub oburzeniem unoszą: przywiązana córka, znalazła w nim środki umilające życie matce, do wygód niegdys i dostatków przywykłej, znalazła w nim rękojmię własnej niezależności. Podniósł on ją w oczach własnych i w oczach rodziny, zdwoił przywiązanie i wzboğacił serce, sumieniu dając niezaprzone o swęj użyteczności świadectwo.

Śmierć uwielbionej matki, zostawiła w duszy niezatartą tęsknotę; zabrzmiła nią niejedna serdeczna struna, nie pękła jednak żadna, nie wywołała żadnego w umyśle rozstroju. Nie dokazała też tego miłość, choć głęboko uczuła, choć o całym życiu postanowiła, przysłała bez burzy, uszczęśliwiona obowiązkami, do końca życia źródłem pociechy, wsparciem i osłoda była. Roku 1828 Klementyna Tańska poślubiła Karola Hofmana. Poprzednio mianowana efortką, czyli wizytatorką szkół żeńskich, następnie professorką w powstałej wówczas szkole guwernantek, nie zaniechała swego autorskiego zawodu. W r. 1829 nowy cios ugodził w jej kochające serce. Młodsza jej siostra, na którą zlała większą część najtkliwszych uczuć swoich, młodo i niespodzianie świat ten pożegnała. Lecz i wtedy nowe uczucie, miłość męża, złagodziła ową ciężką boleść.

Po roku 1831 Hofmanowa, zaprzestawszy swych publicznych obowiązków efortki i professorki, wkrótce opuściła kraj, by się na obcej ziemi z mężem połączyć. Czas jakiś przemieszkali oboje w Dreźnie, o którym mówi autorka: „nie matka to wprawdzie, ale pocziwa ciotka, o tyle zdolna pocieszyć, o ile po stracie matki pocieszyć co może.“ Następne lata aż do śmierci przeżyła w Paryżu, nigdy jednak pobytu tam swego stałym w myśli nie mieniać i ciesząc się nadzieją, że wśród swoich spocznie. Omyliła ta nadzieja! Raz tylko jeden jeszcze serce jej ucieszyło się przełotnie widokiem rodzinnej ziemi. W r. 1842 błysła jej nadzieja, uśmiechnęła się możliwość założenia domu wychowania dziewcząt w w. ks. poznańskim. Przybyła więc w te strony, zawadzając o Wrocław, gdzie parę osób z jej rodziny mieszkało; nie mogąc atoli pokonać niezależnych od niej trudności, powróciła do Paryża. Ztąd wraz z mężem w r. 1844 odbyła podróż po Belgii, Szwajcaryi i Włoszech. Podróż ta rok prawie czasu zabrała, a rok ten w zdrowiu zacnej Klementyny znaczny przyniósł uszczerbek. Poprzednio jeszcze w Paryżu, z powodu raka, który jej się uformował w piersi, dwa razy bolesną operacją zniosła z męstwem, do którego nie słowami tylko zachęcać umiała. Mimo pozornego powodzenia owych operacji, znacznie na zdrowiu upadać zaczęła, co było nawet jednym z powodów owęj podróży do Włoch. W połowie jeszcze odbyła ją szczęśliwie; w Genui dopiero po raz pierwszy doznawać poczęła gwałtownych bólów w krzyżach i boku. Odtąd do powrotu z utęsknieniem przez nią wyglądano, bóle te, naprzemian z ciężkim osłabieniem, nie opuszczały jej wcale. Nie opuszczały jej również smutek spokojny, przecucie śmierci, cier-

pliwość niezrównana i pogoda ducha niezmacona. Ów Rzym upragniony widziała „z wierzchu tylko, zdaleka, jak niegdys Mojżesz ziemię obiecaną;“ wspaniałym wielkotygodniowym obrzędem uczestniczyła jedynie myślą pobożną. Ledwie okiem jej rzucić daném było na kolosseum, mamertyńskie więzienia, na łuki, grobowce, świątynie, gruz, bluszcz i róże Rzymu; z resztą, leżąc w samotnym pokoiku i modląc się cicho, zostawała najczęściej sama „z Bogiem i bólem swoim,“ poprzestając na opowiadaniach męża i przyjaciółki, „oka i ucha swego.“

W maju r. 1845 powróciła do Paryża, gdzie nowe, utrudzające rozpoczęła leki. Zdawało się że leki owe zwyciężyły upartą chorobę, że wieś i świeże powietrze dokonają reszty. W tym celu przeniosła się do Passy pod Paryżem, i tam w dniu 20 września ducha Bogu oddała.

Tak upłynęło to życie bez wstrząśnień gwałtownych i dusza powróciła na łono Przedwiecznego, nie zaznawszy ni burzy, ni zwątpienia, ni wielkich bólów poczęcia, ni wielkich świąt natchnienia. Nie przeszło jednak bez śladu, a czém wśród nas wypiętnowało przejście swoje, wykaże nam jeszcze pozostaje.

Czém były pisma Hofmanowej i wpływ jej na całe pokolenie kobiet, by to sprawiedliwie ocenić, należałoby dalej cofnąć się w przeszłość i przypomnieć czém była rodzina, życie domowe, wychowanie dzieci, nim się te pisma zjawily, nim ten wpływ widocznym być poczęł.

Czas poprzedzający jej urodzenie, czasem był kiedy wszystko dawne burzono, a w to miejsce do żadnej jeszcze nowęj budowli nie położono fundamentu; kiedy wszystko się rozpręgało, a każdy nowęj szukał spojnia; kiedy naród, wyzwalając się z przesądów i uprzedzeń minionego wieku, w wyobrażeniach nowszych w drugą wpadał ostateczność; kiedy pomiędzy przestarzałemi pojęciami, a pełną młodzieńczęj siły reakcją, nie przyszło jeszcze do równowagi, do spokojnego, bezstronnego rozejrzenia się. Skutkiem takowego rozejrzenia się bywa, że wzięwszy przeszłość za podstawę, błędy jej za naukę, doświadczenie za zasób, potrzeby czasu obecnego za punkt wyjścia, pamięć na przyszłość za przewodnika, człowiek czy naród z nowemi siłami, z jaśniejszym wzrokiem, śmielęj i pewnięj iść zaczyna. Zdaje nam się iż takową epoką nie była jeszcze epoka Stanisława Augusta. Wypiętnowała się ona burzeniem, rozkładem, wzniesieniem nowego gmachu późniejszym zostawiając czasem. Zniesiono zakon jezuitów; obalono dotychczasowy system wychowania; w stosunkach dzieci i rodziców zniesiono z jednej strony despotyczną, postrachem ugruntowaną władzę, z drugiej niewolniczą unizoność. W małżeństwie i w ogólności w stosunkach towarzyskich, pozbywano się uciążliwęj sztywności, ceremonialnej etykiety. W strojach zarzucano wymuszoność, sztuczność powagę. W mieszkaniach zacierano ślady poprzedzającego gustu. Z mowy wygnano łacinę, z pism napuszoną, jałową nadętość: — jednem słowem od razu, gwałtownie zerwano z przeszłością, odpychając, zacierając wszelki jej zabytek, z góry każdy jako przesąd, jako tamę do postępu potępiając. A że nigdy się tak prędko nie wznośi i nie buduje, jak się burzy i obala, przeto po zburzeniu owęj przeszłości, dziwne nastalo w rodzinach rozprężenie, w obyczajach zwolnienie, w wychowaniu dorywczość, tymczasowość, co chwila zmieniającej się modzie schlebianie, konwencyonalne z dnia na dzień podług obcych wzorów wyrokującemu gustowi hołdowanie. Miejsce dawnych, na grozie opartych stosunków dzieci z rodzicami, zajęła poufałość, rzeczywisty brak godności z jednej, rzeczywisty brak poszanowania z drugiej strony. W miejsce owęj napuszonej powagi i utrudzającego ceremoniału w obcowaniu jednych z drugimi, nastala lekomyślna i nadużywana swoboda. Nadętą bezmyślności upstrzoną łaciną, zastąpił w mowie i w piśmie polor zewnętrzny, niemniejszą może jałowosc myśli kryjący. Czém zaś może być rodzina, gdzie rodzicom zbywa na godności, dzieciom na należnym względem rodziców poszanowaniu; gdzie mąż jedynie do grzeczności towarzyskięj, do galanteryi względem żony obowiązany się czuje; gdzie żona żadnych w wychowaniu poprzedniem nie zaczerpnęwsy zasad, żadnego w opinii panującej nie znajdując hamulca, próżnością jedynie kierowana, w otwarte przepaście występku bieży? Czém mogą być rodziny takie? niech odpowiedzą owęj epoki kroniki i niezbite w ówczesnych pamiętnikach świadectwa; czém takie rozprężenie w rodzinach objawia się i odbija w życiu publicznem? niech odpowiedzą dzieje.

Szczęściem prąd owego ducha burzącego nie wszystko porwał za sobą; szczęściem ów rozkład nie wszystkie w kraju dotknął żywioły. Z wierzchu świeciło zepsucie, wiała zgnilizna, płynęły brudne szumowiny; w głębi, w sercu narodu, w klassach średnich lu-

dnosci, zepsucie to i zgnilizna pojedynczych tylko dosięgały jednostek. Większość rodzin tutaj po staremu bała się Boga, po katechizmowemu małżeństwo uważała za sakrament, dzieci na chwałę Bogu, na użytek krajowi wychowywać usiłowala. W tej to zdrowszęj i niezarażonęj części narodu najprędzęj przyszło do upamiętania, dla nięj najpierw przyszła chwila zdrowszego kierunku. Tu rozsadek, smak narodowy przebudzony, wpręde nad obłąkaniem poprzednięj chwili zwycięstwo odnosił poczęł.

Na taką właśnie chwilę budzących się zdrowszych wyobrażeń i lepszych dążeń, natrafił poczynający talent ś. p. Klementyny, a przez przyjaciół czas swój rozumiejących pokierowany, wkrótce w nowym kierunku domowego wychowania dzielną stał się pomocą. Ona to rzeczywiście nauczyła matki rozmowy z trzyletniem dziećciem; ona nauczyła budzić myśl jego ojczystym językiem; ona dopomagała zasilić serce skarbem zdrowych, religijnych, narodowych uczuć. Jęj maleńka księżeczka, skromna, z kilkudziesięciu kartek złożona „Helenka,“ od razu przy piérwszem rozbudzeniu serce, myśl, wyobraźnię dziecka skierowała do przedmiotów najgodniejszych czci, miłości, zajęcia—do Boga, rodziny i ojczystęj ziemi. Ona to rodzinom i wzrastającęj wśród nich młodzi przyniosła owe „Rozrywki,“ które najpowabniejszým, najponętnięjszym sposobem zajmując młode serca i umysły, zbrała je ze wszystkiem co swojskie, piękne i szlachetne, co wspomnienia godne z przeszłości, co w zabytkach, a choćby w ruinach, warte ukochania na rodzinnej ziemi. Któż z nas nie przypomni sobie, jakie to uczucia sączyło mu w serce odczytywanie owych listów Elżbiety Rzeczyckięj, owego dziennika Franciszki Krasińskieję, który jednak, nawiasem mówiąc, mógł być daleko pięknięjszym, zubożony tym jedynym prawdziwym szczegółem, że owa piękna księżna kurlandzka, była przedmiotem miłości... Kaźmirza Pułaskiego. Ten szczegół widać nie wydał się dość chlubnym rodzinie, wśród której wychowując się młodziutka Klementyna, zbierała rysy obrazu, który potem z niezrównanym oddała wdziękami.

Hofmanowa, wnikając duchem swych w koła rodzinne, w zacisze domowego życia, robiąc matki mistrzyniami swych dzieci, czatując na piérwszą myśl dziećcię, by przebudzoną na rodzinnym gruncie rozwijać, pamięci otwierając źródło narodowych wspomnień, wyobraźni malując piękności ojczystęj ziemi, grona młodzieńcze ożywiając grami ćwiczącęmy umysł, sercem wskrzeszając wzory enoty rodzimęj,—Hofmanowa, mówię, swoją Helenką, Powieściami moralnemi, Rozrywkami, Amelią, Księżeczką do nabożeństwa dla dzieci, dzielnie dopomogła do upowszechnienia narodowości, która wówczas stała się hasłem myślącej części narodu. Język jęj stał się językiem całego wzrastającego pokolenia, w modlitwie, w nauce, w potocznej rozmowie, w zabawie. Uczucia, wyobrażenia, pojęcia przez nią podawane, stały się dla ówczesnych dzieci i młodzieży karmią dnia każdego i każdej niemal chwili.

Taki to plenny zasiew rzuciła ś. p. Klementyna w rodzinną ziemię swoję. Piękny też na nięj zebrała wieniec czci, poszanowania, wdzięczności, obfity plon najslodszych uczuć i pociech.

W drugięj połowie życia przeniesioną została w świat, który jęj wszystkiem był obcy; żyła po części sztucznem życiem, w anormalnych warunkach, pozbawiona możności zasilania swego talentu u źródła i wywierania widomego, natychmiastowego wpływu. Ucierpiało na tém jęj serce, ucierpiało niezaprzenie i talent jęj pisarski. Dlatego to, nie ujmując wartości i doniosłości dziełom w owęj drugięj a tak odmiennęj epoce pisanym, nieporównanie niższemi od prac poprzednich je sądzimy.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Przed kilką dniami zawiązała się polemika pomiędzy *Gazetą Polską*, a tutejszą niemiecką, (*Warschauer Zeitung*).

Gazeta Polska, oddając sprawiedliwość zdolnościom redaktora *Warschauer Zeitung*, przyznając że pismo to jest jedynym może organem w dziennikarstwie niemieckim, który z bezstronnością i sumiennoscia dotyka spraw polskich, dopatruje jednak we wstepnym artykule niemieckięj gazety (nr 244) dążeń *Nationalvereinu* i zapytuje się redakcyi, czy pragnie, jak w programie swym zapowiedziała, obznajmiać Niemców wśród nas zamieszkałych z krajem i jego prawami, czy też reprezentować i popierać *interesa niemieckie* w Polsce.

Na zapytanie to odpowiada Warschauer Zeitung w artykule wstępnym (nr 221) pod napisem: *Dążności naszego pisma*, że wcale nie myśli popierać interesów niemieckich w politycznym znaczeniu tego wyrażenia, że przekonana jest iż Niemiec który się w Polsce osiedla, zrzeka się przez to samo wszelkiego udziału w politycznych dążnościach swego narodu, a obowiązany jest nie tylko dobra i praw tutejszego narodu sumiennie przestrzegać, lecz zarazem, jako dobrze myślący i światły obywatel, silnie popierać szlachetne i państwotyczne dążności nowej swojej ojczyzny.

Dalej powiada słusznie redakcja, że co innego znaczą *interesa Niemców tutejszych*, o których mówiła w swym artykule, a zupełnie co innego *interesa niemieckie*; że interesa te wcale nie są przeciwne dobru kraju i narodu, a opierają się na zasadzie, iż dobro ogółu zależy na staraniu się o dobro pojedynczych jego członków.

Ubolewa redakcja nad tē, że uprzedzenie narodowe skłania częstokroć dziennikarstwo polskie do jednostronnego sądzenia usiłowań Niemców trudniących się przemysłem w kraju naszym, dodając że nieraz starała się wyświecić tę kwestyę, lecz artykuły jej opacznie bywały pojmowane, a reklamy milczeniem pomijane.

Nakoniec oświadcza, że pragnie równie jak dziennikarstwo polskie, wedle sił i środków, brać udział w dążnościach ku dobru ogólnemu i oświacie zmierzających; obznajmiać Niemców tutejszych, nie znających naszego języka, z prawami, urządzeniami i dążnościami narodu wśród którego żyją i pracują; wykazywać i prostować błędne i uprzedzenia o Polakach w prasie zagranicznej i opinii tamecznej; nakoniec być organem osiadłych wśród nas Niemców ze stanowiska krajowego, organem ich interesów prawdziwych, zgodnych z dobrem ogólnym narodu.

Rozpisałiśmy się nieco obszerniej o tēj polemice, przytaczając w streszczeniu artykuł *Warschauer Zeitung*, raz dlatego, że mało kto z naszych współrodaków, dla nieznajomości języka, lub poprostu dla braku sympaty, pismo to czytuje, a potem że kwestya ta wydaje nam się zbyt ważną, aby ją pomijać milczeniem.

Obrona powyższa, przynajmniej, trafiła nam do przekonania; cieszymy się z tego, że gdy pismo niemieckie zjawiało się w Warszawie, redakcyę jego objął człowiek światły, bezstronny i poczciwym obdarzony chęćmi; że pracą swą sumienną może wpłynąć przyjaźnie na wzbudzenie wśród współrodaków swych tutejszych poszanowania dla narodu i poczucia się do obowiązków obywateli kraju.

Niech jednak redakcyę nie dziwi się że napotyka nieraz na drodze swęj niechęci i nieporozumienia: niejednokrotnie wydarza się to i polskim dziennikarzom, gdy występują z przekonaniem własnem w kwestiach drażliwych, a cóż dopiero pismu w obcym języku wychodzącemu, które należy do rodziny w znacznej części systematycznie nam nieprzyjanej.

Niech redakcyę spojrzy na Zachód i przypatrzy się ścieśnionej falandze pism niemieckich, na czele których stoją: *Kreuzzeitung* i *Powszechna Gazeta Augsburska*; niech zliczy kłamstwa, obelgi, oszczerstwa wymierzane przeciwko wszystkiemu co polskie; niech rzuci bezstronny wzrok w ubiegłe dzieje i ze stanowiska naszego bada postęp idei germańskiej i interesów niemieckich pchających się na Słowiańszczyznę. Gdzie są Lutycy, Pomorzanie, Wilcy, Obotrzy? co się stało z całą Słowiańszczyzną zaodrzańską? co z Łużycanami, Czechami, Szlązakami, Morawcami? Pożarła ich i pożera idea germańska; *interesa niemieckie* prą się wciąż na zachód, radeby zapanować na obu półkulach ziemi i wszystkie lądy zamienić w *wielką niemiecką ojczyznę*.

Dlatego każdy ruch, każdy objaw życia, każdy dziennik niemiecki niedowierzanie wśród nas obudzają; dlatego wielbiąc geniusz pierwszego poety niemieckiego, z niechęcią widzieliśmy uroczystość ku jego czei u nas obchodzoną. Gdyby nie zachciewki niemieckie, gdyby nie mowy takich panów *Schulze-Delitsch*, gdyby nie przechwałki niemieckich *Nationalvereinów* i wieczne hasło: *Drang nach dem Osten*, szanowalibyśmy wielki, przemyślny i pracowity naród, który u siebie, w życiu rodzinnem, dla swoich, tyle ma zalet.

O Ren drżą Niemcy, i po pismach illustrowanych rysują Germanię z mieczem na straży zachodniej granicy; nad Eiderą, Wartą i Odrą postępują przeciwnie, zapominając o świętem zdaniu „*Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło*.”

Oto powody dla których pismo *Warschauer Zeitung*, pomimo swęj dobrej woli i poczciwej redakcyi, nie mogło pozyskać sympatyi kraju w którym wychodzi. My sami dawniej kilkakrotnie z niezyczliwością odzywaliśmy się o niēm.

Dziś, czytając szczerę wypowiedzenie zasad kierujących redakcyę, nie możemy odmówić jej naszego szacunku, i ten zachowamy dla nięj szczerze, dopóki ani na krok nie zejdzie z drogi jaką sobie sama wytknęła. Wolelibyśmy wprawdzie, żeby pismo niemieckie nie było konieczną potrzebą naszego kraju; gdy jednak bez tego obejść się nie może, cieszymy się że ono jest w ręku człowieka, który swą świadomością i sumiennością daje rękojmię, iż kierować je będzie ku pożytkowi powszechnemu.

Jeżeli jednak nikt bezstronny dziwić się nie może, iż Niemiec wśród nas osiadły powoli tylko obznajmia się z mową i obyczajami naszymi, a zawsze żywi sympatyę dla swęj rodzinnej ziemi i mowy, i wśród murów swego mieszkania tēj ostatniej używa, to znówu pojąć nie możemy, dlaczego niektórzy rodacy nasi, w brew opinii publicznej, posługują się niemieckim językiem.

Właśnie mamy przed sobą okólnik p. Zacharewicza, księgarza z Mohilewa, który oznajmiając innym księgarzom o zmianie swęj firmy, używa mowy niemieckiej.

Dziwnie, zaprawdę, czytać odezwę księgarza polskiego, żyjącego z publiczności polskiej, poczynający się od słów: *Hiermit beehre ich mich Ihnen anzuzetigen etc.*, i dlatego musimy panu Zacharewiczowi publicznie uczynić wymówkę. Zdaje nam się że żaden księgarz angielski nie wydaje odezw do współrodaków po francuzku, ani włoski po niemiecku; raz przecież należałoby przyjść do zdrowego zapatrywania się w tych rzeczach, i mamy nadzieję, że to ostatni niemiecki okólnik p. Zacharewicza, jaki mamy przed oczami.

Przy sposobności tēj nadmienić nam wypada, że są i inni panowie księgarze, kupcy i handlujący, którzy nie otrząśli się z nałogu posługiwania się buchalteryą niemiecką w swych księgach. Dalby Bóg tylko, aby zastarzały ten i szkodliwy nałóg wkrótce usunięty został.

Ukończywszy *interesa niemieckie*, zwracamy się do miejscowych gospodarczych. Dzienniki nasze wspominają wciąż o wybornej maszynie p. Wagnera do karczowania lasów. Cieszylibyśmy się zarówno z drugimi z tego ważnego wynalazku, gdyby jeszcze u nas *szumiały lasy, pomieszkania bogów*; ale zaprawdę, nie wiemy co maszyna p. Wagnera będzie karczować, bo dzięki naszej nieogledności, szczątki lasów zaledwie tu i owdzie pozostały, odwieczne dęby i smagle sosny oddawna wytransportowano do Gdańska, lub poświęcono na ofiarę Żniczowi, a wszędzie taka młodzizna, że ladajaki chłop, bez pomocy maszyny za pień ująwszy, może zostać owym słynnym *Wyrwilasem*, o którym lud nasz cudownie opowiada rzecz.

Gdyby maszyna pana Wagnera mogła karczować skutecznie wady nasze: zbytek i próżność, zamiłowanie mody i wstręt do pracy w klassach wyższych, a miłość do alkoholu wśród rzemieślników i włościan, to gotowibyśmy nie tylko dać jej opis, lecz nawet i rysunek; ale dla lasów wynalazek ten uważamy za zbyt cenny, chyba że kolej przyjdzie na wycinanie i karczowanie sadów, co może u nas, przy zbytniej obfitości owoców, nie byłoby od rzeczy; zwłaszcza tēż należałoby najprzód wziąć się do śliwek, bo tych tak jest wiele i do tak bajecznej przysły tanioci, że miejscami jedna węgierka po 2 grosze się sprzedaje.

Dziwna rzecz zaprawdę, że w Szląsku austriackim, któryśmy niedawno zwidzili, pomimo równie nieprzyjanej wiosny, sprzedają po 20 śliwek za grosz. Pokazuje się ztąd, że gdyby Szlązaków ożywił duch spekulacji i gdyby takie jak my mieli zamiłowanie do podróży, to wieśniak tameczny, naładowawszy wózek śliwkami, mógłby przejechać się do Warszawy i zwidzieć wszystkie osobliwości tēj stolicy, a nie tylko żeby mu się koszta podróży wróciły, ale mógłby jeszcze gościńca przywieźć dzieciom z Warszawy.

Kilka dni temu byliśmy świadkami szczególniejszego w swym rodzaju sporu.

Rzecz toczyła się pomiędzy *allopotami* a *homeopatami*, czyli (przepraszamy czytelników za niepotrzebne może objaśnienie) między szkołą która środki lekarskie podaje chorym w wielkich dozach, a tymi którzy nieskończenie drobnymi dawkami silą się przywrócić im zdrowie. Spór z początku umiarkowany, wkrótce zeszedł na drogę kłótni, i zamiast objaśnić opinię walczącą bronią nauki, zaczęło sobie wzajemnie zadawać nieuczciwość i chęć gubienia chorych. Wrzawa się wzmożła i zawziętość zobopólna niepodobnym czyniła zbliżenie się obu stronnictw medycznych. W końcu jeden z lekarzy głos zabrał i rzekł:

— Szanowni koledzy! wszystkim wam idzie o podniesienie nauki....

— Nieinaczęj! zawołały chórem obie szkoły.

— O niesienie ulgi cierpiącym...

— Tak! tak!

— Każdy w swém przekonaniu działa z dobrą wiarą i mniema iż jego sposób leczenia jest zbawiennym.

— W samęj rzeczy!

— Gdy więc co do celu jesteście z sobą zgodni, pocóż spierać się o środki i napadać wzajemnie? Nauka bez wątpienia na tēm zyskuje, ale chorzy tracą zaufanie w pomocy lekarskiej. Porozumcie się więc raczej i porzucicie gorszące spory. Czy kto zapisze uncją, czy $\frac{1}{1000}$ część kropli, jeżeli tylko uzdrowi chorego, na jedno to wyjdzie, a na zgodzie, na wspólnej pracy i medycyna i cierpiąca ludzkość niezmiernie zyskają.

Inwentarze do nowego wydania *Volumina legum*, są już ukończone i przesłane do księgarń tutejszych; tym więc sposobem to ważne dzieło ukończonym zostaje.

Wydawcy krzątają się około zwykłych kalendarzy, a p. Dzwonkowski drukuje drugi rok *Kalendarza dla Polek*. Z pomiędzy innych kalendarzy wydawcy Tygodnika *Illustrowanego* (J. Ungra) zamieszcili artykuł tłumaczony z czeskiego przez F. Nowakowskiego *O kodymkach*, z objaśnieniami figurami. Będzie to zaspokojeniem istotnej potrzeby; w ostatnich bowiem czasach mnóstwo osób zgłaszało się o bliższy opis tych oszczędnych pieców. Osoby te odsyłamy do kalendarza; kto by zaś życzył sobie mieć modele *kodymek*, wkrótce zapewne będzie mógł nabyć je w składzie nasion p. *Rodkiewicza* przy ulicy Miodowej, który sporządzenie takowych, na wzór sprowadzonego przez nas okazu, zarządził.

Z dobrego źródła zapewnić możemy, iż wiadomość jakoby Leleweł zostawił pamiętniki swego życia i jakoby Żupański w Poznaniu zajmował się ich wydaniem, okazała się nieprawdziwą. Jedyne szczegóły do życia naszego historyka znajdują się w dziele jego *Przygody*, oraz we wspominkach na początku dzieła *Bibliograficznych ksiąg dwoje*.

Zaniedbane u nas do niedawnej chwili wydawnictwo dzieł dla ludu zaczyna się ożywiać. Wyborną skazówką jego potrzeby był *Elementarz dla chłopców wiejskich*, którego w ciągu roku przeszło 60,000 rozeszło się egzemplarzy, bo takiego powodzenia żadna książka polska nie doznała i może nigdy nie dozna. To tēż wydawcy nasi weszli obecnie na drogę praktyczną i starają się dziełka tego rodzaju sprzedawać po jak najniższych cenach. Wydawca Tygodnika *Illustrowanego* wkrótce ukończy druk innego elementarza, przeznaczzonego dla dzieci klas miejskich uboższych, ozdobionego drzeworytami, którego cena wraz z oprawą wynosić będzie groszy 10.

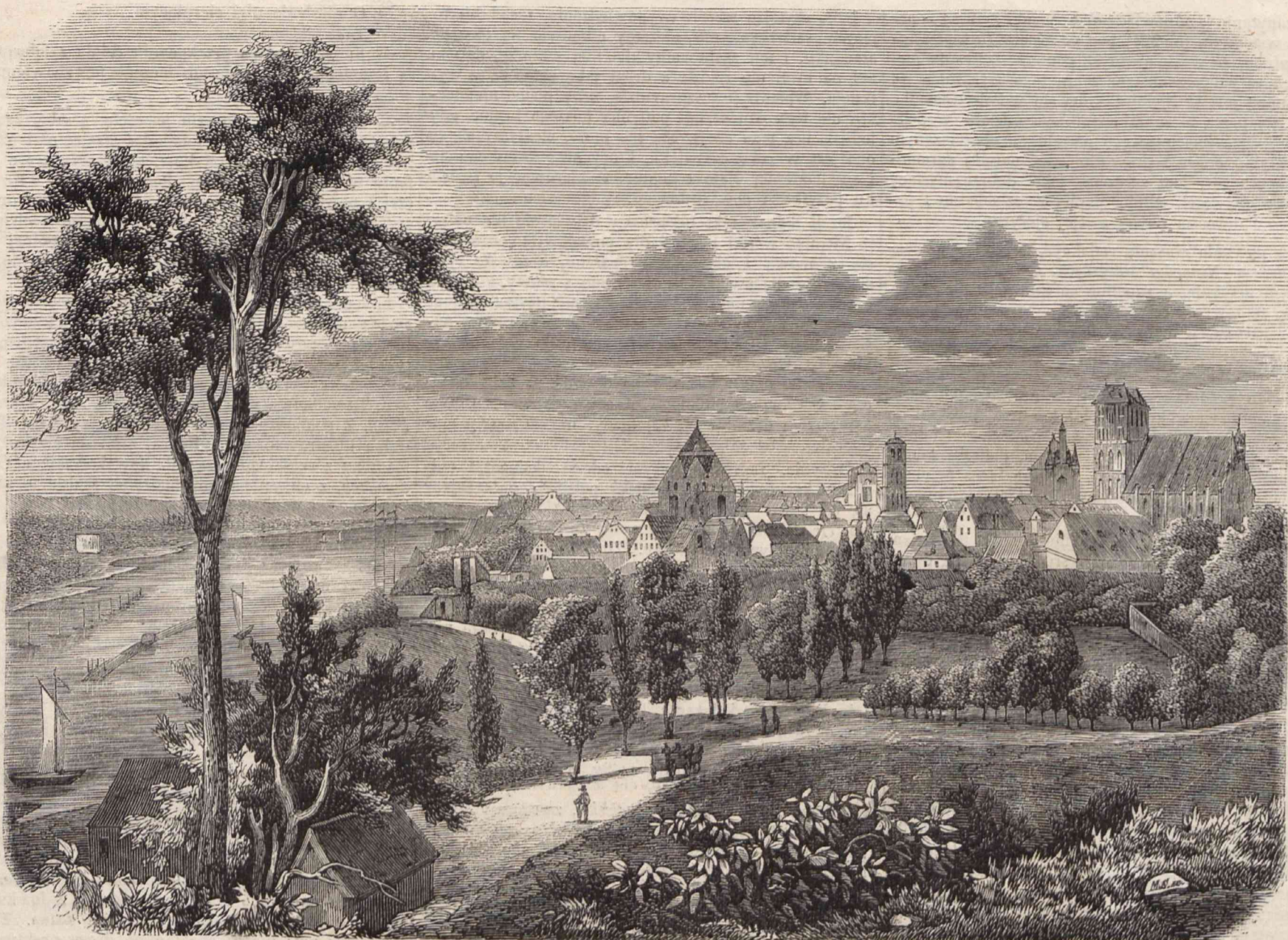
Księgarze nasi G. Gebethner i R. Wolff wkrótce rozpocząć zamierzają drukowanie historii polskiej, z dwudziestą czternastą drzeworytami kolorowanymi i tekstem odpowiedniego rozmiaru; mimo jednak znacznego bardzo nakładu na to dzieło, którego kolorowanie odbywać się będzie za pomocą kilku klisz drzeworytniczych, do każdego koloru osobno, cena będzie nadzwyczaj umiarkowaną, bo egzemplarz sprzedawać się będzie po złotych dwa. M. Glücksberg, wydawca *Kmiotka*, w krótkim czasie rozpocznie drukowanie Biblioteki dla ludu, złożonej z kilkunastu tanich, a potrzebom ludności poczynającej się kształcić odpowiednich książeczek. Również przygotowanym jest do druku rękopis „*Pogadanki o świecie*,” napisany na żądanie wydawców elementarza dla chłopców wiejskich.

Chwalebne dążenie niesienia światła pomiędzy lud spoczywający nieświadomie, podnoszenia jego moralnej strony, wyrobienia z niego pożytecznych członków społeczeństwa, przyczyni się niezmiernie do rozwoju pomysłności kraju; szczerze tēż życzymy powodzenia takim usiłowaniom wydawców.

Powieść trzytomowa J. Zacharyasiewicza: *Na Kresach*, napisana z wielkim talentem i malująca nader trafnie stosunki obecne na zachodniej granicy w. ks. poznańskiego, które autor uważa za nowożytny *Kresy*, nie znalazła nakładcy w Warszawie. Niezrażony tēm autor spróbował wydać ją drogą prenumeraty we Lwowie i rzecz dotąd niepraktykowana w Galicyi, w przeciągu sześciu tygodni znalazła się 4300 abonentów.

Słyszelibyśmy że p. Zacharyasiewicz ma jeszcze około 200 zbzywających egzemplarzy swęj zajmującej powieści, i mniemy iż gdyby który z księgarzy tē resztę nabył, uczyniłby prawdziwą przysługę naszej publiczności.

Wyszło świeżo z druku w Krakowie dzieło lekarskie: *Rys położnictwa praktycznego*, napisane przez Dra Władysława Tyrchowskiego, b. adjunkta kliniki położniczej przy uniwersytecie jagiellońskim, a dziś profesora akademii medyko-chirurgicznej w Warsza-

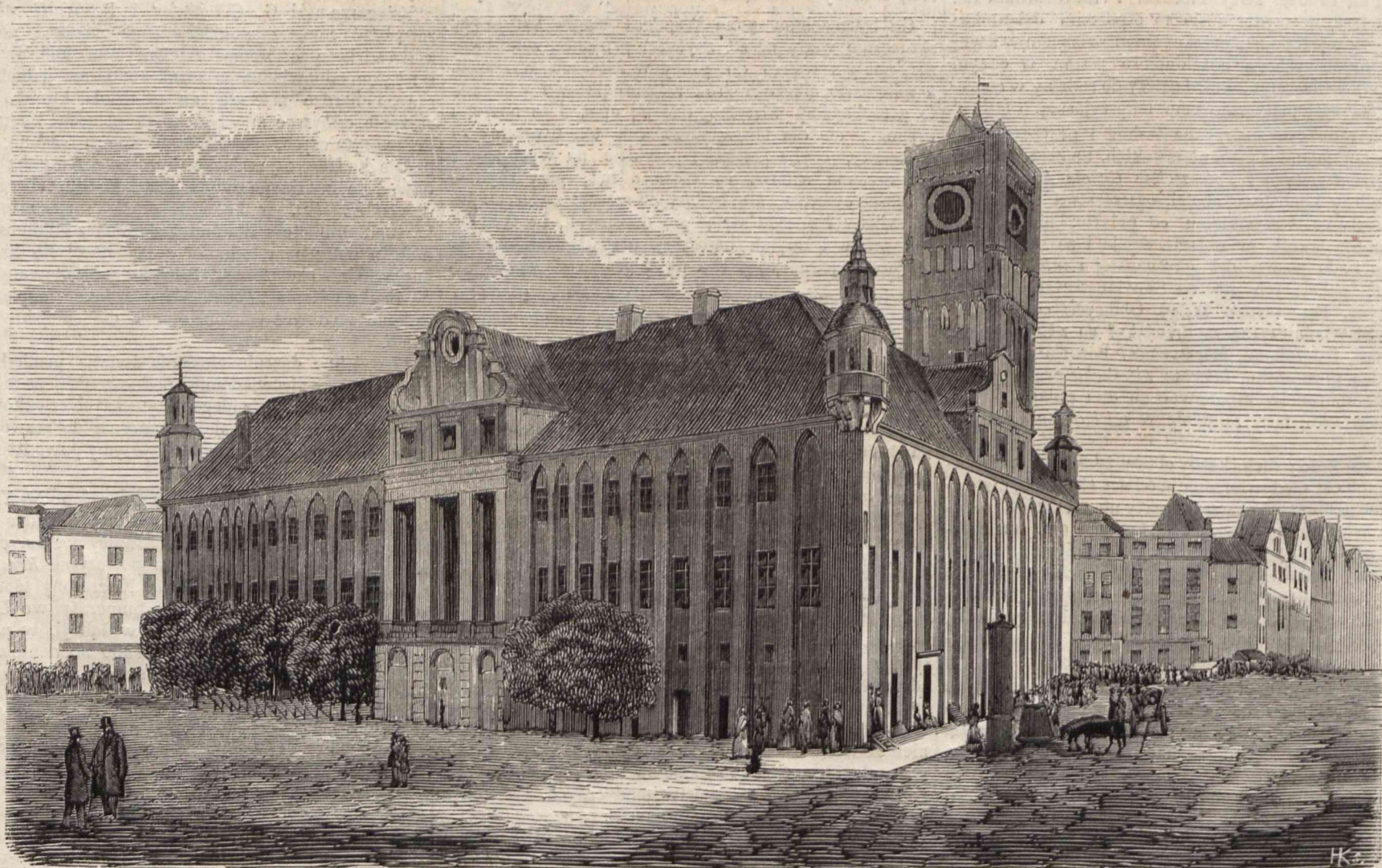


WIDOK OGÓLNY TORUNIA. (Rysował z litografii Podbielski).

wie. Praca ta ukazała się w samą porę, oddawna bowiem dawał się ucywać wielki brak podręcznego dzieła w tej gałęzi sztuki lekarskiej, a uczniowie posługiwali się książkami zagranicznymi, co dla

nieznających dokładnie obcych języków z wielkimi trudnościami połączone było. Uznając pożytek tej pracy, a zostawiając jej bliższe ocenienie ludziom specjalnym, o to tylko z naszej strony prosimy, ażeby szanowny autor spodziewane drugie wydanie swego dzieła zechciał udokładnić objaśniającymi drzeworytami lub litografiami.

nowny autor spodziewane drugie wydanie swego dzieła zechciał udokładnić objaśniającymi drzeworytami lub litografiami.



RATUSZ W TORUNIU. (Rysował z litografii Polkowski).

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

Poznawszy już główne stolice naszej ziemi, pałam chęcią zwidzenia grodu, co był jęj stolicą morską, owego Gdańska, o którego rzeźbionych kamienicach, olbrzymich spichlerzach i dziwacznych pomnikach, slyszalam od dzieciństwa krasne opowieści.

To też jak dziecko się radowałam, gdy stanął zamiar wycieczki do Gdańska; już nieraz w chwili zadumy sję na jawie o moźnych naszych przodkach, co wróciwszy z tańców tatarskich, wieźli tam ziarna własną [piersią osłonięną przed grabieżą dzicy, wieźli je dla żywienia narodów; sję o flisach zuchwalcach, co wróciwszy do samotnej wioski, opowiadają dziwy o nadmorskich ludziach i rozciekawionej dziewce wręczają serduszko bursztynowe; sję o sławnych korsarzach z bractwa Witalisa, jakich nieraz z przerażeniem Gdańsk u bram swoich widywał, i marzę Bóg wie jeszcze nie o czém: bo gdy myśl raz się puści na przeszłość i morze, nie łatwo jęj powrócić z tych dwóch oceanów.

A po drodze [małoż ciekawości? Czeka mię Toruń gwiazdzisty i ów Malborg, na który polskie oczy tak patrzą, jak patrzą skowronki na chmurne, opustoszałe gniazdo, gdy najstarszy skowronek opowiada im, że „oto w tém gnieździe mieszkał niegdys jastrzab, a straszny był dla śpiewaków Boźnych.“

Na téjże drodze zatrzyma nas i Czczewo, co choć miasto drobne, chlubi się że jedno z piérwzych zastosowało najrozumniejszą budowę mostów, na jaką się nasz wiek zdobył.

A samaż droga czyż nie nęci prawdziwym głosem syreny? Gościnniec będziemy mieli to szafirowy, to znów różowy, to złoty! Tym gościncem będzie Wisła. Powędrujem, jak wieszcz mówi: „nabijaną światłem drogą.“

Żegluga po Wiśle.

3 sierpnia.

Zaświtał dzień wyjazdu, i równo ze świtem zerwaliśmy się, aby o szóstęj z rana stanąć na parowcu.

Każdy odjazd jest pelen wzruszeń, ale żaden może tyle, ile odjazd wodą; ten obraz pożegnań rozsiany malowniczo na wybrzeżach, ten dzwon którego serce kruszcowe z pustotą rzuca hasło rozdziału, tenszum wody burzącej się pod kołami ruchliwemi jak kolo fortuny, na której łaskę i niełaskę zdają się podroźni, wszystko obleka wyjazd w poezję i uroczystość, jakiej się trudniej dopatrzeć wśród zapyłonej gospody, lub w pośpiechu dymnego dworca kolei żelaznej. Nakoniec widok uciekających brzegów przejmuje pełnem niepokoju złudzeniem: zdaje się że nie my opuszczamy miejsce zamieszkania, lecz że to miejsce nas opuszcza.

Po długich szumach, sykaniach, namysłach, statek odbił od brzegu, i nigdy mi się Warszawa nadobniejszą nie wydała, jak gdy [patrząc ze środka Wisły,

ujrzałam jęj spiętrzoną postać w złotej siatce słonecznego wschodu.

Statek na który wsiedliśmy, *Płockiem* zwany, wytwornej jest budowy; główną jego ozdobę stanowią krajobrazy zdjęte przez naszych młodych malarzy z najpiękniejszych okolic kraju; wprawione w ściany kajuty, wiążą okienka, z których każde zamyka także mały ruchomy krajobraz.

Na statku było jeszcze obszernie, pomimo licznego napływu podróżnych; między temi znaleźliśmy wielu znajomych, i w chwilę zawiązała się rozmowa gładka i ruchliwa, niby żywe srebro, jedna z tych, jakie tylko rodzą się w podróży, która tak szybko przygodami zbliża, i wnet tak szybko zapomnieniem dzieli.

tylko, białe jakby kaptur kamedulski, brzegi przez parę godzin nie przedstawiają żadnych widoków znakomitszych; ależ dość mieć wielką rzekę pod stopami i pogodę nad czołem, aby mieć na całe godziny świetne widowisko.

Wśród nieprzeliczonych dziwów natury, jest jedno które zawsze będzie sztukę doprowadzać do rospaczy: to drganie światła na wodzie.

Mistrz pędzla zdoła pochwytać falę w jęj najzuchwalszym kształcie, zdoła nawet powtórzyć pienienie się wodospadu, ale nigdy nie przeniesie na płótno owego drzenia promieni na wodach. Bo jak odgadnąć nie można gdzie dusza głównie zamieszkuje, w sercu czy w mózgu, tak też trudno powiedzieć na czém

owo zjawisko głównie się zasadza, na blasku, czy na ruchu? Odejmij jedno, całe zjawisko znika. Woda pod niebem jednostajnie schmurzonem jest jako dramat leżący w rękopiśmie; dopiero gdy się obłoczna zasłona podniesie, całe czarodziejstwo sceny wodnej wybyska i wszystkie fale występują w godowych ubiorach, i rozmawiają z księżycem lub słońcem ogromnym alfabetem barw, półbarw i błysków, strząsają z tęczy skrzydeł rzęsiasty pyłek iskier, w bruzdy wodne przewalają całe snopy światła, kochają się szafirowemi spojrzzeniami, biją się brzegami ostremi i świecącemi jak damasceńskie szabllice. Czasem przelotna ale czarna chmura, zakrywając nagle słońce, zwikła tę intrzygę kolorów, jak katastrofa w dramie, a czasem człowiek pojawi się w czólnie i jednym rzutem wiosła wszystkie fale ukorzy, jak *Deus ex machina* zstępujący w starożytnych epi-logach.

Więc było co badać w wodach; lecz nieraz wzrok je porzucał, gdy spotkał się z kępami gęsto tu rozszianemi; na każdej kępie zielono — zielono, a pod nią i nad nią niebiesko — niebiesko; czasem tylko mignie pasiasta spódniczka dziewczęcia idącego z białą konewką do rzeki, lub czerwony kaftan rybaka, co z pajączą ruchliwością rozpina się i skroploną; a jak woń z ziela, tak z każdej kępy wieją pieśni orylskie, wieją z tak daleka, że słów nie rozumiesz, ale podkładaś pod nutę wrażenia własnej duszy; a nad wszystkiem z rzadka wyrastają sokory wysokie a szczuple, mocne w pniu a wiotkie w zarośnięciu, zupełnie jak poezja ludowa, niby nikła, niby nieutralwalona niczém, a przecież z każdą wiosną w tysiącach sere odkwita.

Czasem inny jaki statek parowy przeleciał kolo nas dwa warkocze, jeden ciemny z kłębów dymu, drugi jasny z wrzącej piany; tak w życiu ludzi i narodów każdy niemal ważniejszy wypadek ciągnie za sobą dwa łańcuchy skutków, dla jednych szczęście, nieszczęście dla drugich.

Patrząc na tłumy tratów, łodzi i berlinek, wyobraźnią się przeniosłam w owe dni świetności, gdy Zygmunt III, na farbnych statkach zawiadszy, wśród rodziny ubranęj w szkarłat i złotogłów, wśród błyszczącej plejady uczonych i dostojników, wśród bicia dział i pokłonów chorągwi, od Warszawy płynął do Gdańska, z przepychem przypominającym żeglugę Kleopatry po Nilu.



STUDNIA NA WYŻSZYM PIĘTRZE ŚREDNIEGO ZAMKU W MALBORGU.

Ta rozmowa wprowadziła nas na tok opowiadania wrózącego nie najmiłsze dla żeglugi losy; dowiadujemy się że wczoraj statek *Włocławek* za Wysogrodem rozbił się na kamieniach, i że nasz *Płock* jedzie go ratować; roztkliwiamy się nad położeniem podróżnych, którzy od dwudziestu czterech godzin czekają zmiłowania na pokładzie, bo w rozbięciu kajuty zostały zalane; ale i my pomoc niosący, czyż nie możemy zanim ją doniesiem, popaść w podobną przygodę? Już pod Bielanami statek ze złowrogim zgrzytem wrzynał się w piaski, przecież jeszcześmy szczęśliwie tę piérwszą Charybdę przebyli.

Za Bielanami, które w zieleni brzegów mignęły

Tymczasem ukazują się pierwsze miejsce godne zastanowienia, ujście Narwi do Wisły. Na wązkim końcu przylądka dzielącego dwie rzeki, stoi biały spichlerz, wybudowany z rzadką klasycyzacją kształtów. Niektórzy z obecnych, znający Wenecję, mówili iż gmach ten przypomina im śnieżne pałace narzeczonej morza. Pod samymi stopami gmachu następuje rzek połączenie, jednak nie można dosłownie powiedzieć że się łączą; chociaż złane już w jedno koryto, nie chcą wód swoich pomieszać. Narew, niezwykła, jeszcze blisko przez dwie mile toczy się w rzece modrą wstęgą ściśniętą i ciemną, jakby posępna kometa na przewróconym firmamencie Wisły; a ów spichlerz, który bieleje nad niemi, tak jest wesoly, jak gdyby zawsze śmiał się z ich niezgody.

Między przylądkiem a wyniosłym brzegiem, przesuwa się nad Narwią most łańcuchowy żelazny; taką nadpowietrzością drga jego budowa, że zdaleka widziany wydaje się filigranowym naszyjnikiem rzeki.

Niezadługo prawy brzeg przynęca nowym widokiem; z bujnego ugajenia *Czerwińsk* się wychyla obliczem klasztoru, ukoronowanemu kościelną wieżycą. Kościół jest jednym z tych, które w swęj dziwnie potężnej pobożności założył Piotr Dunin; istnieje nawet w klasztorze współczesny, jak mówią, portret założyciela, a jego tajemnicza postać, zdająca się bujać nad wieżą, rozlewa średniowieczny urok na to siedlisko, tak niegdyś zamożne, że opat czerwiński pisał się „panem na stu wsiach.“

Jest jeszcze prześliczna legenda miejscowa, opowiadająca że święty Jacek, chcąc w tém miejscu przebyć rzekę, a nie znalazłszy łodzi, płaszcz swój rzucił na wodę, i po tym płaszczu przeszedł całą Wisłę. Niewytłumaczony lecz błogi dreszcz mię przejął, gdy nasz statek przebywał tę wstęgę nurtów, po której ów pokorny król wody miał stąpać; poezja tak chętnie wierzy w cuda! Może dlatego, że sama powinna być cuda działać.

O! gdyby to można i po owęj bezdeni, która czas od wieczności dzieli, przejść na jakim skrzydlatym płaszczu, nie wsiadając do łódki śmieci! Kto wie czy owa tkanka tęsknot, poświęceń i mądrości, nad którą ród ludzki od wieków pracuje w ciężkim warsztacie boleści, nie stanie się kiedyś dla niego takim cudownym płaszczem?

Nakoniec ukazał się *Wyszogród*; ucieszyliśmy się że jesteśmy już blisko statku któremu pomocy nieśe mamy; ale właśnie tę chwilę obrała psotliwa Nemezys, aby nam okazać że przed końcem dzieła niczem się cieszyć nie wolno. Już w oddali zarysowała nam się sylwetka rozbitej nawy, gdy nasz statek wydał ryk niezwykle, wstrząsnął się i stanął—osiedliśmy na miełach.

Patrzając sobie oko w oko, dwaj więźniowie Wisły napróżno rzucali wzajem dymne i hukliwe sygnały. Zdawało się że będziemy musieli czekać ażby trzeci statek wybrał się z Warszawy na ratunek braci. Przez całą godzinę mocowaliśmy się z piaskami; jakże musiała dla podróżnych tamtego statku długą się wydawać owa godzina dorzucona do dwudziestu czterech godzin ich oczekiwania! Nakoniec wszystkie siły wyczerpując, nasz Bucentaur wyrwał się z piaszczystych kajdan, i przy okrzykach tryumfu dopłynął do rozbitka, którego podróżni wnet zalegli nasz pokład. Długo zajmowali nas opowieściami swoich przygód: ich statek na wskrós kamieniem przebity, trzepotał się na dnie jak motyl u naturalisty; szczęściem że choćby chciał, nie miał w czém utonąć.

Jednak te spotkania, nizkość wody, ciągle nieprzewidziane trudności, czyniły podróż tak wolną, że około godziny szóstej z południa, o której mieliśmy już być w *Nieszawie*, dopływaliśmy zaledwie do *Plocka*.

Pomimo opisów i rycin, nigdy sobie nie wystawiałam, ażeby to miasto tak świetnie było położone; brzeg wysoko wzgórzysty, jakby wielka szmaragdowa podstawa dla dzieł człowieka, tego boskiego posagu, wieże świątynie szanowne siwą barwą wieków, bujny ogród aż ku rzece zespójający, z którego gęstwiny prosty krzyż drewniany wystrzela dwojgiem ramion, a raczejby trzeba mówić dwojgiem skrzydeł,—wszystko to w przewróconych kształtach głęboko odbite przez Wisłę, tworzy widok dość wspaniały, ażeby Polak mógł z chlubą cudzoziemcowi go pokazać.

Brzeg był okryty mieszkańcami i strojnymi mieszkaniami grodu; jedni goście nas opuścili, inni przybyli; łyżwowi most otworzono. Długo okiem gonila zacierający się profil starożytniej stolicy książąt mazowieckich, i znowu znaleźliśmy się w pośród samotnych krajobrazów.

Siadłszy przy kołach, gdzie piana tryskała tumanami srebrnego chłodu, śledziliśmy długo surowe kształty wysokiego brzegu, w którym twarda glina łamiąc się prostopadłe, ludzi oko zadziwiającem podobieństwem do skały. Zachód słońca był nieco chmurny,

lecz pyszny; właśnie owe cienie podartych obłoków, odbijając się na wodzie w ogromnych rozmiarach, tworzyły na niej tło mlęczne, niby karta biała, z którego występował rysunek światła, misternie ukolorowany arabeskami granatu i karmazynu. Tak Wisła stała się księgą; szczęśliwy kto w niej czytać umie!

Po zachodzie słońca gwary brzegów zwołna ucichły, i podróżni w zadumie przestali rozmawiać; wtedy można było coraz wyraźniej słyszeć głosy wody, głosy stalisto-wesołe, przeciągło-tęskne, czasem hukliwogroźne, a wszystkie tak pełne wymowy, że w stopniowanym rozmarzeniu sądziłam pochwycać z rozmowy nurtów najprzód pojedyncze wyrazy, potem całe wrotki. Niejeden spytał: „O czém Wisła śpiewała?“ Mnie się zdawało że Wisła o samej sobie śpiewa pieśń, którą Klonowicz ją uczył.

Pieśń o *Flisie* była mi nieodstępna towarzyszką żeglugi; w żadnym utworze naszych dawnych pisarzy tyle się nie rozmiłowałam. Jest to jedno z dzieł rzadkich tą osobliwością, iż nie miało ani wzoru, ani naśladowców; choć tak dawne, należy do najromantyczniejszych naszych poematów. Wiersz wyrzeźbiony sam się śpiewa; niektóre wrotki mogłyby służyć za epigrafy, na przykład kiedy poeta odradza ludziom ubogim lub lekliwym puszczenie ostatniego dobytku na niepewność fali i mówi że inne narody, nie znajdując u siebie dość zarobków, muszą ich szukać na obcych brzegach,

„Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie.
Może nie wieździeć Polak co to morze,
Gdy pilnie orze.“

Przez czas gdy się w ludzką wczytywałam książkę, w księdze natury karta się odwróciła: zagasy pstre pożary na niebie i wodzie, a za to z żelaznych piersi maszyny, zamiast pługowego dymu, wystrzelał deszcz ognisty. Iskry takie i z parowozów świetnie wytryskują, ale tam niezmierna chyżość jazdy szybko je rozwiewa; paropływ idący z łabędzią wspaniałością, powoli się okrywa tą płonąca grzywą, która nie ciągnie się za nim, ale po jednej stronie statku wysoko strzeliwszy, potem półkolisto spadając ku wodzie, tworzy łuk, którego Wisła jest srebrną cięciwą. Gdy noc zupełnie zapadła, ów łuk czerwony odbił się w głębinie drugim łukiem różowym, i dwa te półkole utworzyły wirującą koło, które się wydawało kołem od czarnoksiężkiego młyna Salamander. Nic nie było piękniejszego, jak kiedy jaka łódka przez kryształowe progi podpływała pod czerwień Danteskiej arkady; za każdym silniejszym odetchnięciem parowca, nagłe zgęszczenie się wybuchu czyniło takie wrażenie, jak kiedy śpiew pojedynczy nagle się w chór przemienia. Większe iskry opadały leniwie, niechętnie, jak błędne ogniaki cmentarza, a nawet opadłszy, jeszcze na wodzie się paliły, trzepotały i tańcowały, niby ogniste motyle. Dziwne podobieństwo iskry i motyla, ziemskiego życia i nieśmiertelności!

Podróżni, straciwszy nadzieję nocowania w Toruniu, chcieli przynajmniej nocy tej użyć na przyspieszenie drogi, a zawiadowcy statku, skłaniając się do ich życzenia, przyrzekli że będą płynąć, dopóki tylko ciemność i mielizny pozwolą. O dziewiątej wieczorem stajemy przed *Dobrzyńniem*: zmrok mu nadawał postać szarą i jednostajną, lecz przed oczyma duszy mojej latały stu bitew łuny, słyszałam szezęki stu szturmów; gdzie gwiazdy migotały nad Wisłą, tam widziałam migocące zbroje braci *dobrzyńskich*; niejeden dramat, niejedna elegia wysnuje się z godziny takich marzeń. Odpywamy, i znów tylko niebo i ziemia, a brzegi samotne jak dwie czarne wstążki. Ale patrzmy... cóż tak uroczyście rysuje się w dali? Na rozgwiazdzonym szafirze powstają kształty wypukłe, podarte, zębate jak korona, ciemne jakby widmo; widmo to nad czołem rozplotło włosy dzikiej, szumiącej zieleni, i siedzi na brzegu stromym jak warownia. Wszak to zwaliska?

— To zamek w *Bobrownikach*.

Tu Wisła i jej wybrzeża noszą już cechę prawdziwej poezji; widok tych rumowisk tyle zaciekawia, tyle obiecuje wyobraźni, iż co chwila oczekiwałam czy jaki Machnicki nie ukaże się na strzaskaniej baszcie, i nie rzuci nam choć jednego słowa z owych tajemnic niebieskich, które się kosztem rozumu ziemskiego zdobywa w miłości ruin.

Przez kilka godzin statek szedł z przerną wytrwałością; lecz około północy wpłynął między takie piaszczyste ławy, kamienie i wiry, że po bohaterkich wysileniach maszyny, dalsze próby zostały uznane za nazbyt niebezpieczne w ciemności; ogień zgaszono, łoskot kół się zatrzymał, a podróżni, rozsiedzszy się, szukali wypoczynku po wszystkich zakątkach, gdzie wielki zasób trudu i dobrej woli wynagrodził mały

zasób wygody. Tak minęła pierwsza noc podróży, spędzona niespodzianie na głębinach Wisły.

4 sierpnia.

Cdy się obudziłam między czwartą a piątą z rana statek już szedł, a podróżnicy zwołna wynosili się na pomost, gdzie chłód rosowy błogo nas orzeźwił. Słońce już było wstało; nieco dopiero wzniesione nad widnokręś, rozlewało to światło zaranne, żółte, które jest tak wesole, jak wiek co dzieli dzieciństwo od młodości.

Na prawym brzegu rozwijał się widok,—jaki? Dość powiedzieć że można go porównać do niektórych okolic nadreńskich, do tych, w których wdzięku jest więcej niż grozy. Była to ziemia dobrzyńska, ta ziemia taka slična, że zdaje się tylko do radości i pokoju stworzoną, a przecież krwią użyźniona, mieczem wyorana, była wiekową kością niezgody między Polską a Krzyżactwem. Lecz kto ujrzy tę ziemię, z jej nadobnie pagórkowanym obliczem, z jej ogrodami pełnymi bluszczu, kwiecica i winogrodu, ten się nie zdziwi że dwa plemiona jej posiadania żądały; co tylko piękne, staje się przyczyną walki, i dlatego to może, zaczawszy od trojańskiej Heleny, tyle już przekleństw rzucano na piękność. Jednak, jeżeli muszą być na świecie walki, to już lepiej walczyć o różę, jak o pokrzywę.

Niezadługo na przeciwnym brzegu ujrzeliśmy ładnie rozwinięty *Włocławek*; kilka większych budynków jego poważnie się rozpięra na wyniosłym podmurowaniu, które od rzeki tworzy niejako podstawę miastu szczytającemu się że buduje najtrwalsze i najpiękniejsze berlinki dla Wisły.

Nakoniec ukazała się *Nieszawa*. Pomimo najlepszej mojej chęci, widok jej nie zdołał mię zachwycić; leży wprawdzie na brzegu stromym, ale odartym i smutnym, a sama mięscina taka jednostajna i sztywna, że niema nawet owych romantycznych uroków, które nieraz się z ubóstwem łączą.

Musieliśmy już pożegnać parowiec; nasze statki nigdy prawie, niestety, dalej jak tu nie dochodzą.

Dzięki uprzejmości jednego z mieszkańców *Nieszawy*, ozdobny koczyk uniósł nas ku Toruniowi.

Droga do Służewa taka sobie, jak większa część dróg na świecie: trochę lasków, trochę zboża, parę wiosek, i już koniec.

W *Służewie*, wśród gąszczów szumiącego ogrodu, błysnął dawny zamek z basztami, dziś jeszcze będący dworem mieszkalnym, a dalej starożytny kościół.

Ale też w tém miejscu jest kres wszelkiej dla oczu przyjemności. Minąwszy Służew, wpada się w istną Saharę: góry piasku, doliny piasku, żółkła pustynia nudy. Jednak i tu jest pociecha; na wyblakłych wydmach gęsto rośnie las sosnowy; dzień był gorący, godzina upału, piaski rozżarzone, więc tylko cień tych lasów ratował podróżnych.

Wśród tej smutnej jednostajności przedstawiła się obszerna, dość wdzięczna kaplica; przy niej długo mieszkał pustelnik, zmarły dopiero w przeszłym roku. Dziwny pomysł, obierać pustelnię w takiej piaszczystej topieli; podobny widok nie pobudza do uwielbiania dzieł boskich.

Nagle, na skrócie lasu, zahuczała pod kołami jasna droga bita, po jednej stronie za wodą zabłysły jakieś wycinane, purpurowe mury, po drugiej bielili się domki zatrzesione gajami i kawiarnie, gdzie w altanach siedziały postrojone Toruńczanki. Jakby pod uderzeniem czarodziejskiej laseczki, pustynia zasp i sosen zmieniła się od razu w siedlisko życia i wesołości. Miejsce to dotąd nosi polską nazwę *Podgórze*.

Zjechaliśmy nad rzekę: mostu od dwóch lat nie było, prom go zastępował; w tej chwili przewoził innych wędrowców. Czekając jego powrotu, mogliśmy się do woli napatrzeć błyszcząc przed nami rozwinętej Wisły, na której przeciwnym brzegu dziwnie malowniczo rysuje się czerwony Toruń.

Toruń.

Nie próżno Toruń nazwałam *czerwoną*; wszystkie jego kościoły, wieże, obwarowania, nawet większa część domów pała tym kolorem, a odbicie jego w Wisłę spoczywa jakby wyspa koralowa.

Od samej *Nieszawy* spieszyłam się z odczytywaniem dzieła D. Szulca o *życiu Kopernika*. Teraz już prom przypłynął, a jeszcze nie skończyłam ostatnich rozdziałów; lecz zato samo miasto leżało przedemną jakby kronika w czerwieni oprawna, spięta klamrami lśniących wieżyc, a Wisła u niej się zwiesza jak niebieska wstążka, którą geniusz historii założył tam kartę Kopernika.

Serce mi biło z radości i części, gdy mogłam wy-

zrec: „Te więc mury na które patrzę, widziały jego!“

Zadne inne wspomnienie nie mogło się teraz w myśli mojej ostać, i całe dzieje Torunia zamykały się dla mnie w dziejach jego nieśmiertelnej gwiazdy.

Przebyliśmy z szumem Wisłę i wjeżdżamy w bramę toruńską. Nowoczesne fortyfikacje, zdaleka tak groźnie najeżone, zblizka pobudzają uśmiech; mury wazkie, jak gdyby z malowanej tektury, wszystko się zdaje na żart postawione.

Siedlisko obraliśmy w hotelu *Sans-souci*, celującym wygodą i położeniem; stoi na rynku, ze środka którego wykwiata ratusz, największa budowla ozdoba Torunia; wielki czworobok, poprzerzynany długimi oknami wprawnymi w gotyckie półfilary, a nad tęp śmiała wieża z zegarem, otóż i cały obraz; lecz w tej harmonijnej prostocie spoczywa klucz jego piękności.

Otworzywszy okna, śledziłam jaskrawe życie rynku, co gwaro snuje się w około zamyszonego gmachu, jak pęk w około skały.

Wiedząc iż tylko już pół dnia zostaje nam na zwidzenie miasta, przybraliśmy się czym prędzej, zaczynając wędrowkę od najbliższego nam ratusza. Dziedziniec, głęboki jak studnia, wielki jak rycerskie szranki, zastanawia oczy dziwacznością murów pomalowanych mchami, a na których okna różnokształtne, okratowane, orzeźbione nie stoją rzędami, lecz zład i zowąd, jakby przypadkowe szczeliny przegładają. Widać że budowniczy, nie myśląc o zewnątrz, tam je wycinał, gdzie wewnętrzne zwikłanie komnat gwałtownie wyciąć nakazało; taka średniowieczna fantazyja drażni, ale i przywiązuje, jak zbytńia szcerość w człowieku który wszystkim prawdy ciska w oczy, nie troszcząc się czy te prawdy, te okienka mądrości, zastosują się do gmachu obecnych pojęć.

Znalazłszy przewodnika, zażądaliśmy aby nam pokazał dawne sale obradne. W jednej z nich, gdzie się dzisiaj sąd przysięgłych zgromadza, są dwa wielkie obrazy: pierwszy przedstawia sąd Salomona, drugi zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. W jednej z rozległych sieni, jest obraz jeszcze ciekawszy. Na nim wiernie wyobrażono chwilę, w której się dawna narada miejska odbywa; zgromadzenie, w długich czaranych szatach, z trzech stron obsiadło salę; z ich ruchów poznasz rozmowę w której się waży jakieś wielkie losy; w ich surowych obliczach panuje duma mieszczan znających potęgę swego grodu. W głębi, pod baldachinem, burmistrz jaśnieje na siedzeniu, podobnie wpół do tronu, wpół do konfesyjonału.

Ale co najciekawsze, to że blisko obrazu stoi do dziś dnia zachowany tenże sam tron burmistrza; jest on z drzewa ozdobionego w kolumneczki, rzeźby i malowania, jeszcze dziś pełne krasy.

W innych salach niejedną jeszcze przedmiot nas uderzył; w jednej starożytne portrety wielu królów polskich, w innej z żywym zajęciem przyglądałam się wizerunkom burmistrzów; z ich strojów i rysów można niejako czytać koleje Torunia. Jedni stoją butnie, drudzy patrzą przewrotniej; lecz jakże smutne sprawa wrazenie ostatni, ten którego wolę nie wymienić, bo imię jego budzi nadto bolesne wspomnienia... Rzecz dziwna! Jego są aż dwa wizerunki; zdaje się jakby załośni Torunianie chcieli sobie przynajmniej tą powtarzaną złudą pędzla zastąpić obecność owęj ofiary fanatyzmu.

Czém prędzej chciałam ujść z tej sali, lecz choć otwarte, każde podwoje mię zatrzymywały. W Toruniu umiano wyrabiać szafy, drzwi i różne ozdoby, jakich nigdzie nie napotkałam; jest to mozaika z drzewa; rysunek jej sam się tworzy ze słojów, kręsek i odcieni, które się znajdują w kawałkach drzewa tak mistrzowsko zestawionych, że oko nie może się żadnych spojeń dopatrzeć. Rysunek ten jest jakiś krąglisty i dziwaczny, jakby zarys sennych widziadeł, lecz posiada jak one fantastyczną piękność. Tradycya takich kosztownych i mozolnych wyrobów zaginęła, równie jak wyrobów gdańskich. Dziś te owoce cierpliwości i sztuki należą do rzadkich zabytków. Na niektórych wyobrażone są postacie kobiece, rozkołysane płasem obłocznym, przypominającym tancerki pompejańskie; inne przedstawiają całe obrazy allegoryczne lub dziejowe. Każde takie drzwi, ze swoim rapsosem włókami drzewnymi nakreślonym, można by przez godziny badać.

Ale już trzeba odejść, przewodnik nawołuje nas do księgozbioru; tam spotykam zabytek, który mię wielką napełnia radością, jako jeden z najdotykających dowodów postępu: są to starożytne woskowane tabliczki, które tylokrotnie zapisywano i zeszkrobrywano. Ówczesna książka, zawierająca tylko cztery kartki czyli cztery deski, zabierała tyle miejsca, co dzisiaj drukowana biblia. I czyż dziwno że teraz oświata stokroć chylęj się rozlewa? i czyż nie być dumną, że się żyje w dziewiętnastym wieku?

Napierały się uwagi i inne ciekawości: dzban starożytny do piwa, pięknej roboty; nieszczęśny miecz

którym ścięto burmistrza; przytém dwie pieczęcie miasta, wielka i mniejsza, obie z herbem Torunia. Wdzięczny ten herb, wyobrażający anioła opartego na trzech wieżach, powtarza się tu co chwila na sklepieniach, odrzwiach i kolumnach.

Z ratusza poszliśmy szukać domu Kopernika, i o zgrozo! kilku przechodniów zapytanych o drogę, otworzywszy wielkie oczy, zaledwo rozumiało czego żądamy. Nakoniec w księgarni, dokąd nas widoki Torunia zwabiły, wskazano nam drogę ku owęj świątynicy wspomnienia.

Po długiej wędrowce, na rogu ulic *Staro-Toruńskiej* i *Piekarskiej*, poznajemy szukany dom po stojącej przed nim studni, na której jest umieszczone wyobrażenie sfery niebieskiej; powiadam że poznajemy po studni, bo tóż po niczém inném poznać go nie można. Budynek ten, przedstawiany jeszcze na rycinach w swojej starożytnej niedbałości, dziś odmalowany, z oknami zrównanymi, wygląda na kamieniczkę w której się nigdy nie wielkiego nie stało. A jednak, jak opiewa napis na ścianie:

„Tu roku 1473, 19 lutego, urodził się Kopernik; tu przeżył lata pierwszjej młodości; tu spędził czas niejaki wróciwszy z zagranicy, a może i myślał nad głębkim układem świata.“

Legenda jakoby dom ten miał być kolębką Kopernika, zdaje się według poszukiwań naszych badaczy tylko legendą; mógł jednak należeć do jego rodziny, i mimo wszelkich powątpiewań, wita go się z uczuciem rzewnego podziwu. To tóż niemiłe wrazenie ogarnia, kiedy chcąc się dostać do wnętrza, trzeba przechodzić przez sklep korzenny, pełen natłoku i gwaru. Przebiegłszy go czém prędzej, weszliśmy do głównego pokoiku, gdzie niema nic ciekawego, oprócz samych murów i wizerunku nieboznawcy. Na wizerunku tym, bardzo jak się zdaje dawnym, wielki nasz ziomek oddany jest mniej smutno i przykro niż na innych, jednak jeszcze nie tak, jakby sobie polskie serce życzyło.

Niegdyś możni panowie polscy na wagę złota kupowali cegły z tego domu; po jakimś czasie dostrzeżono, że handel ów zagraża istnieniu budowy i dzisiaj go zaprzestano.

Z domu Kopernika, którego utrzymanie smutne wrazenia zostawia, poszliśmy do farnego kościoła Panny Maryi. Budowla wewnątrz szczegółniej zdumiewająca; gotyk w swojej pierwotnej surowości, wybrukowany wiekowymi grobami; na nich wpół starte rzeźby, napisy, z których ledwie co dziesiąta głoska została. Wszystko oddycha taką świętą grozą, że w powietrzu sądziłam czuć próchno przeszłości, zrywające się pod każdym stąpieniem wylekłego przechodnia. Niezmiernie dawne, wyblakłe wizerunki mistrzów krzyżackich i książąt pomorskich, założycieli i opiekunów kościoła, zwróciły pilnie naszą uwagę. Po lewej stronie wielkiego ołtarza, w posepnej kaplicy, wznosi się bogaty grobowiec Anny księżniczki szwedzkiej, siostry Zygmunta III. Na tym grobie Władysław IV wystawił pomnik uwieczony posągim zmarłej. Wszystko z czarnego paroskiego marmuru i ze śnieżnego alabastru. To zbratanie dwóch barw sobie wrogich, czyni przykre ale mocne wrazenie, jakby uwidomiona walka życia i śmierci.

Z katedry udaliśmy się do kościoła św. Jana. W szkołach założonych przy tej świątynicy, młodzutki Kopernik pobierał pierwsze nauki. Tu więc kwitła wiosna jego marzeń; tu różne powołania, walczące o pierwszeństwo w świtającej duszy, chciały go jeszcze otoczyć ponętami ziemi; lecz dziecię nieba, wierne niebu pozostało. Nieraz pewno, przechodząc po tójże samej drodze, po jakiej dziś ze drzeniem stąpam, spoglądał okiem orlecia w to słońce, któremu miał berło wydatte przywrócić.

W takich myślach zatopiona, przeszłam próg kościoła; przewodnik przeprowadził nas aż za wielki ołtarz, gdzie znajdują się główne pamiątki. Najpierw uderza, a raczej razi oczy pomnik Parnesiusa, mający wyobrażać Kopernika, najohydniejsze dzieło sztuki jakie widziałam. Nad nim zwiesza się obraz dziwaczego pomysłu; jest on przedzielony na dwie części, niby okna na dwóch piętrach; z niższego wygląda Kopernik w postawie modlitwy, z wyższego nasz król Albrecht, który w tęp mieście umarł; część jego zwłok tu jest pochowana. Twórca pomysłu, książę Józef Aleksander Jabłonowski, chciał jak się zdaje połączyć dwa wspomnienia najdroższe w Toruniu dla Polaków; ale czy myśl może się nazwać szczęśliwą? Żebyż był umieścił Kopernika nad Albrechtem, króla wiedzy niebieskiej, nad królem ziemskim!

Na innej ścianie zajął mię niezmiernie grobowiec naszego nieocenionego Rubinkowskiego. Na wysokim pomniku umieszczone są wizerunki obojga małżonków. Zamysliłam się przy tym grobie... zdawało mi się że słyszę zbrojowy szcęk pancernych, wracających z pod

Wiednia, i że umarły budzi się, aby na tarczy Janiny, niby na karcie, spisywać podsłuchaną ich rozmowę.

Ale myśl że noc nas zaskoczy, zanim dopełnimy tak ważnego zadania jakim jest nabycie pierników w Toruniu, wyrwała mię z zadumy, i po długiej, arcy-zwikłanej drodze, znaleźliśmy nakoniec najszynniejszy zakład przysmaków toruńskich, którego właścicielem jest pan *Wese*. Gdyśmy weszli do sklepu, gdzie wszystko tak jest szczelnie zamknięte w szafach i szufladach, że się nikt nie domyslił jaki zawierają towar, zaczęto mię częstować specyałami norymberskimi i innemi, co noszą nazwy miast niemieckich. Cóż mi po norymberskich? ja chcę toruńskich. Wtedy otworzono stół kantorowy, podobny do starożytnej skrzyni; w głębi ukazały się wielkie jak puklerz Achillea, ciemniejące numidyjską cerą, wysadzane korzenną rzeźbą, Matuzalemy pierniczego rodu.

Wyszedszy z ładunkiem miodowym i uwielbwszy po drodze pyszną budowę kościoła św. Jakuba, który jest na zewnątrz najpiękniejszym z przybytków toruńskich, powróciliśmy na rynek do mieszkania, gdzie przy herbacie ozwała nam się dziwna muzyka. Godzina dziewiąta z wieczora nie jest tu ogłaszana przez bębny, lecz przez melodyą trzyrotnie wykonywaną na trąbie, co tęsknym echem napelnia uciszone miasto. Po ostatniej nocy prawie bezsennie spędzonej na Wisłę, wcześniej nas przynęcił spoczynek, tęp więcej że jutro bardzo rano odchodzi statek na który: zamówione mamy miejsca. Większa część podróżnych odbywa drogę z Torunia do Bydgoszczy pocztą; myśmy dla upoetyzowania sobie podróży raz jeszcze obrali Wisłę za gościniec.

Świt zastał nas już gotowych do wyjazdu; po ostatniem spojrzaniu rzuconém na miasto szkarłatające się w łunie jutrzeńki, zjechalśmy na brzeg Wisły w samej chwili, w której kula słoneczna z pod widnokresu wytrysła. Przez czas niejaki drgając migotaniem pierwszych promieni, zdawała się krawędzią oparta o rzekę; wtedy utworzył się na wodzie ogromny słup szczerzo-ognisty, którego słońce było niejako jasnowłosą głową; i słup, niby żywy, zwolna szedł po wodzie. Mnie się wydało, że to duch Kopernika.

Dalęj Wisłą!

5 Sierpnia.

Zstępując ku brzegom, sądziliśmy że zastaniemy statek przynajmniej tyle obszerny i ozdobny co nasze. Wielkiem było moje zdziwienie, gdy się przedstawił stateczek wprawdzie parowy, ale taki mały, ubogi, niestrojny, nawet niepomalowany, że mi przypomniął wyobrażenie jakie mam o statkach na których Kolumb odkrył Amerykę; a jednak jakże na nim było wesoło! Dziś bowiem przypadała trzecia rocznica dnia w którym sternik *Szablewski* objął kierownictwo naszego paropływu, i wnet nas uwiadomiono, iż to święto ma być wspaniale obchodzonem.

Już od rana *Szablewski* jest w humorze Noego, przez co często nasz statek zarzyna się w piaskach i przeryna po kamieniach; dzielny jednak sternik umie naprawić swoje niebaczność, i zawsze zwycięzko nas wyprowadza.

Rachując na zwykłą zamożność parowców, nie wzięliśmy żadnych z Torunia zapasów; pokazało się że nie będzie można wymagać obiadu od statku, który nawet kuchni nie posiada, chyba gdyby maszynę parową na ten użytek obrócić. Po niejakich jednak poszukiwaniach w misternie ukrytej spiżarni, znalazło się dość wyrobów bawarskich i hollenderskich, aby przy nich cierpliwie doczekać wieczora.

Gdy statek odbijał od brzegu, zostaliśmy ogłuszeni hukiem niespodzianym; radosny sternik nad głowami naszymi z pistoletu wystrzelił na pożegnanie Torunia, i już słyhać szum fali ubijanej przez rozbudzone koła. Gości na statku kilkanaście się zebrało; ubogie kobiety z kobiałkami, uboższe jeszcze dzieci i kilku rzemieślników.

Przy flamandzkim śniadaniu i krajobrazach oświeconych uroczą pogodą, godziny uciekają; statek jednak nie szybko dąży, zmuszony ciągnąć większą od siebie berlinkę; jak to zwykle, wóz większy od konia. Poranne godziny spędziliśmy w kajucie schludnej; jedyńm jej przepychem były mikroskopijnych rozmiarów ponsowe firaneczki, zawieszane u małych okienek, na małych złotych pręcikach.

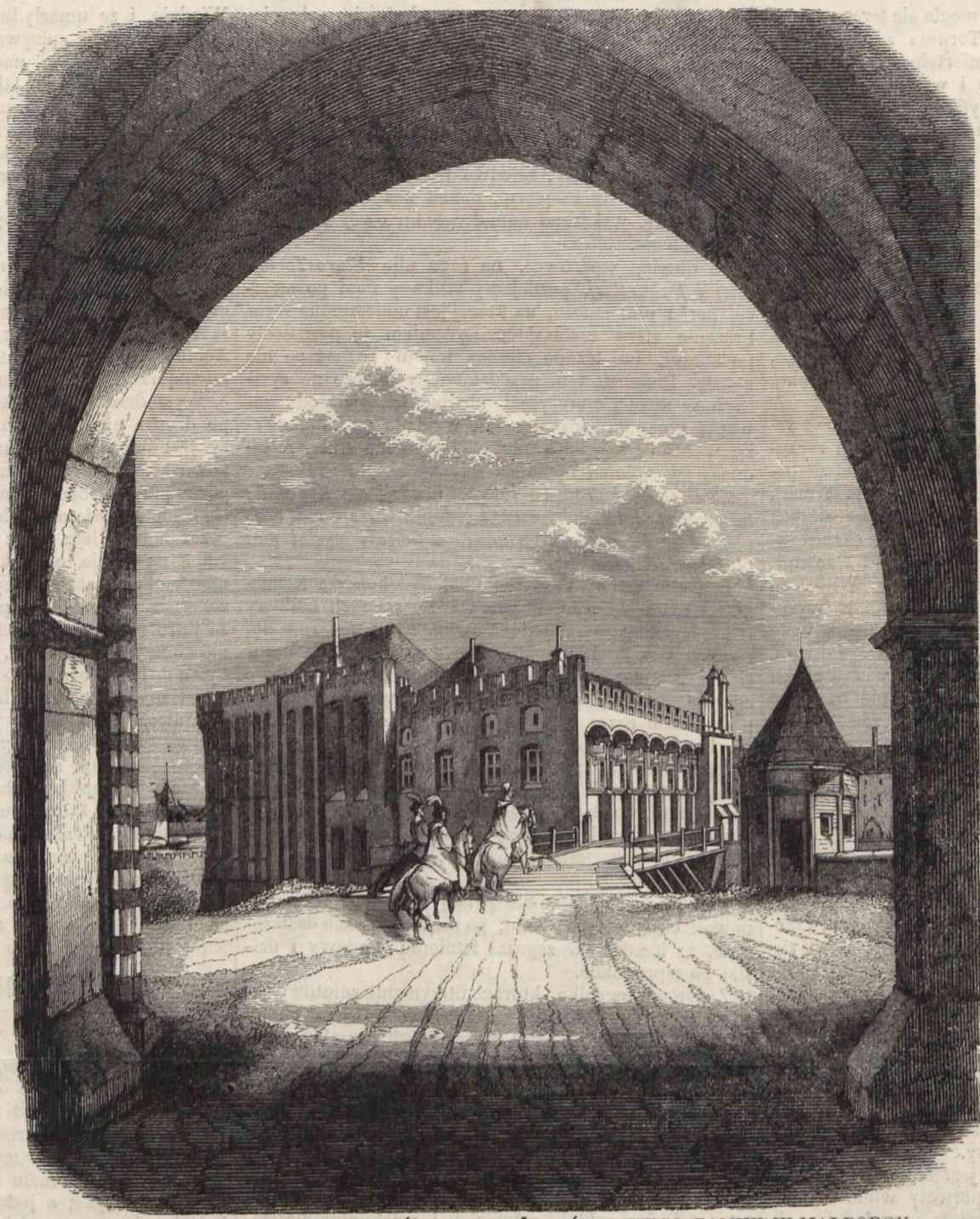
Dzień był prawdziwie sierpniowy, najgorętszy w tym roku, i wkrótce kajutka napełniła się takim senegalskim upałem, żeśmy spróbowali wyjść na pomost; lecz pomost prostaczego statku, który, jak się domyslicie, nigdy na swobodnym czole nie dźwigał daszku, prażył się pomiędzy dwoma ogniami, słońca i komina parowego. Wybór był trudny; przechodziliśmy kolejno to na dół, to w górę, chłodząc się tylko powiewem piany wodnej, która drobne obryziwała okienka.

Kapitan nie znajdował się na statku; zastępował go człowiek dziwnie czynny, umięjący wesoło połączyć najrozmaitsze powołania; był głównym strażnikiem maszyny, czasem zastępcą sternika, a na koniec jedynym posługaczem gości. Niejednokrotnie, gdy chleb dla nas krajał, wstrząśnienie statku ostrzegało go o groźnych głazach lub mieliznach; wtedy nóż porzucał, z wejrzeniem wodza wstępował na ganeczek, i wyrwawszy nas z niebezpieczeństwa, z wejrzeniem znów gospodarskim wracał do podróżnych cierpliwie oczekujących.

Aż do drugiej z południa płynęliśmy Wisłą; brzegi jej tu nie uderzają żadną pięknnością położenia lub dzieł ludzkich, lecz woda zawsze zdawała mi się cudna, choćby dlatego samego że wiślana.

Około drugiej wpłynęliśmy na *Brdę*, rzeczkę wijącą się tak kręto, że statek musi trzy razy tyle drogi odbywać, ileby jej odbył gdyby mógł dążyć prosto. W tych ciągłych załamaniach węzowych uplotów, woda pomarszczona i zniecierpliwiona przybiera kipiący połysk; na wybrzeżach niezmiernie łąki, przepasane gajami, nakrapiane wioskami, wonięją od bujności. Gdzieniedzie rzeczka do takiego stopnia się zwęża, iż drzewa rosnące na dwóch brzegach, wiążąc się mniej więcej wierzchołkami, tworzyły rodzaj gotyckiego krużganku, pod którym w przepływie oddychaliśmy rokoszą chwilowego chłodu.

Woda była dosłownie zasłana berlinkami; z naszego statku musiano nieustan-



MIESZKANIE W. MISTRZA W CZĘŚCI ZACH. PÓLN. ŚREDNIEGO ZAMKU W MALBORGU.

jak gdyby pałac czarnoksiężki.]

Ledwieśmy wyjechali ze Czczewa, głuchy i przeciągły huk wagonów ostrzega nas, że sławny most przejeżdżamy; w nocy i w zamkniętym powozie, niepodobna osądzić tego zjawiska; dostrzegamy tylko po obu stronach jakieś wielkie kraty, poza którymi widnieją gwiazdziste niebo odbijające się w Wiśle. Te zagadkowe spostrzeżenia tém żywiły nas rozciekawiają; jednak uzbroiliśmy się w cierpliwość, mając zamiar w powrocie z Malboga zatrzymać się tu jutro, dla obejrzenia tak wspaniałego dzieła.

Przebywszy drugi podobny, lecz nierównie mniejszy most na Nogacie, o północy stajemy w Malbogu. Gdy przyszło wysiadać, wielkie wzruszenie mię ogarnęło; na ileż to ogromnych wypadków patrzyła, ileż krzyżackich tajemnic słyszała, ileż polskiej krwi się napila ziemia na którą mam wstąpić!

Malborg.

Zalecono nam hotel pod *Wielkim mistrzem*; sama stosowność nazwy już do niego nęciła.

Od banhofu jedziemy i jedziemy. Noc nie dozwalała nic prawie rozróżnić; czuliśmy tylko silne wstrząśnienia powozu skaczącego po drogach spadzistych i nierównych, a niekiedy dostrzegali chałupkę lub jakieś rozwalone mury. Tak pierwsze wrażenie jednej z najbogatszych stolic przeszłości, dość nam się wydało dziwne.

(Dalszy ciąg nastąpi)

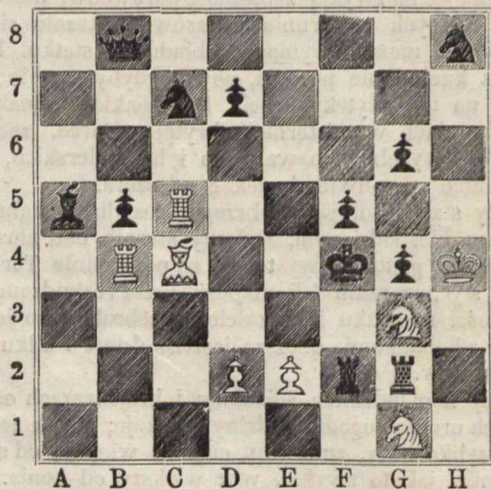
SZACHY.

ZADANIE LXXXII.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata laurem C 4 za piątym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 81.

Białe.

Czarne

- 1) C 5 — D 7 † W. bije S. białego.
- 2) B 6 — D 4 biorą † S. bije L. białego.
- 3) E 4 — D 3 † L. bije S. białego.
- 4) F 3 — F 4 † Kr. bije P. białego.
- 5) G 8 — D 5 biorą † i mat.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 103.

O Paryżu brzydkie rozchodzą się pogłoski, że tam nawet i bankierów pakują do kozy.

nie w dzwon uderzać, na znak aby się żaglowe nawy usuwały przed dumnym parowcem. Sternicy berlinek po drodze witali Szablewskiego radosnymi okrzykami, pełnymi powinszowań i dobitnych żeglarskich wyrażań.

Lecz już zdaleka błysnęły wieże Bydgoszczy, a na brzegu sielska willa, którą zamieszkuje kapitan naszego statku. Wtedy na pomoście objawia się jakiś ruch niezwykle; spostrzegamy dwa moździerze, które nasz dowódca o kilku powołaniach, w gwałnym pośpiechu nabija, i oto z obu dział dano ognia, na wiwat sternikowi, na cześć kapitanowi. Nieco dalej ujrzelismy na brzegu domek zamieszkały przez człowieka, który przed laty zajmował posadę Szablewskiego, i niestety nie był biegły w swojej sztuce, tak iż kilkakrotnie nadwreżył statek. I pod jego oknami puszczono wystrzały, lecz tu był to głos szyderstwa. Tak w pośród echa roznoszącego oddźwięk naszej artylerji, wpłynęliśmy pomiędzy ulice Bydgoszczy.

Przez miasto, gdzie uderzyła mnie piękna budowla starożytnego kościoła, pojechaliśmy do dworca kolei żelaznej, wytwornie urządzonego; tam w ocienionych salach, wśród aksamitów i bronzów, ochłonęliśmy na koniec z upału, a gdy się słońce spuściło, miłą przechadzką przynęciły nas kwiaty, gaje i trawniki otaczające budynek. Tak czas ubiegł do siódmej z wieczora, o której ze świstem lokomotywy puściliśmy się ku Malbogowi.

O jedenastej w nocy pociąg zatrzymał się w Czczewie (Dirschau), gdzie się rozchodzą dwie koleje: jedna po trzech kwadransach drogi doprowadza do Gdańska, druga idzie aż do Królewca, a pierwszym jej przystankiem jest Malborg.

Dworzec kolei żelaznej w Czczewie, chociaż ciemnością otoczony, uderzył nas pyszną swoją budową, dziwnie się w cieniu rysującą; jego ściany całe kryształowe jarzyły się od niezliczonych światła gazowych,

REBUS.

